

Prorok z niehumanitarnej ziemi

Można ironizować, że porównywał się do Tolstoja, ale jego życie rzeczywiście upłynęło w rytmie wielkich wydarzeń i olbrzymich zamierzeń, które czasem go przerastały.

GRZEGORZ PRZEBINDA

Aleksander Solżenicyn, co może wydawać się paradoksalne, wiele razy podkreślał korzyści, jakie wyniósł z aresztowania i zesłania. Od dzieciństwa chciał być pisarzem na miarę Lwa Tolstoja, chciał stworzyć wielką epikę i przygotowywał się do tego zadania. Ale dopiero aresztowanie w 1945 r., po ujawnieniu listu, jaki napisał z frontu do przyjaciela, krytykując zdolności wojskowe Stalina, sprawiło, że otworzył szeroko oczy. Wrzucony w piekło aresztów i łagrów pisarz przyglądał się z bliska nudnemu z najważniejszych tematów XX wieku.

W więzieniach i łagrach spędził 8 lat. Po wyroku wrócił na wolność jako człowiek świadomy swego zadania. Chciał obalić w pojedynkę system sowiecki, łącząc w sobie dwie metody walki: skrupulatność historyka i arcyzm pisarza.

Solżenicyn wykorzystał krótki moment odwilży chruszczowskiej, by zaistnieć w oficjalnym obiegu. Ukazał się wówczas „Jeden dzień Iwana Denisowicza” – niewielka objętościowa powieść o życiu szeregowego łagrownika. To była pierwsza książka, która w tak oczywisty sposób demaskowała okrucieństwo systemu wobec niewinnych ludzi. Później wydał jeszcze w wydawnictwach zachodnich „W kręgu pierwszym” i „Oddział chorych na raka”.

Jednak książką Solżenicyna, która zmieniła świat i sprawiła, że stał się on pisarzem na miarę Tolstoja, był „Archipelag Gułag”. Jego dzieło miało charakter fundamentalny, pokazywało bowiem światu, że komunizm nie jest lekturą na faszyzm. Zostało napisane również wbrew tym, którzy przyzwyczaili się do życia w komunizmie. W Związku Radzieckim książka musiała wywołać szok: powstała w momencie, kiedy stalinizm wydawał się pieśnią przeszłości, zastąpioną przez bardziej łagodny komunizm epoki breżniewowskiej. Solżenicyn demaskował zbrodnicze fundamenty, na jakich została zbudowana ta względna stabilizacja, ujawniał też olbrzymie poacie życia społecznego, oficjalnie nieistniejące. Nic dziwnego, że rodacy krytykowali go na wszelkie możliwe sposoby. Co prawda „Archipelag” nie mógł ukazać się oficjalnie w kraju autora, a on sam w 1970 r. otrzymał Nagrodę Nobla, ale nie przeszkodziło to w nagonce na pisarza. Oskarżano go, że podczas wojny złożył donos sam na siebie, żeby zadekować się na tyłach frontu;

że współpracował z gestapo; że książkę napisała za niego CIA; ktoś nawet zinterpretował skierowane do strażnika przekleństwo jednego z więźniów: „Trzeba by na was Trumana”, jako zachętę do zrzucenia bomby atomowej na Związek Radziecki.

„Archipelag” był również wstrząsem w krajach Europy Zachodniej. We Francji na przykład, prześląkniętej sympatią do komunizmu, w tej Francji, którą Miłosz nazywał „Chinami Europy”, po publikacji książki tamtejsi komuniści zaczęli oddawać legitymacje. Powstała nawet grupa intelektualistów, która nazwała się „Dziećmi Solżenicyna”.

Po opuszczeniu Związku Radzieckiego Solżenicyn na krótko zatrzymał się w Szwajcarii, a później wraz z rodziną ruszył do Stanów Zjednoczonych. Był jednocześnie historykiem, pisarzem, coraz częściej podejmował się roli publicysty. Zainteresował się samorządnością lokalną, która według niego miała stanowić jedyną alternatywę dla komunizmu i liberalizmu. Obu systemów nie akceptował. Dlatego po wyjeździe coraz częściej dawał wyraz swojemu rozczarowaniu krajami Europy Zachodniej. Uważał, że laicyzacja i wygoda doprowadziły do zgnęśnienia i utraty męstwa przez mieszkańców bogatszej części Starego Kontynentu. Męstwa, które według pisarza było niezbędne do walki z komunizmem i obrony religijnej tożsamości. Dlatego też, w przeciwieństwie do większości zachodnich intelektualistów, nie odrzucał możliwości konfliktów zbrojnych, choćby takich jak w Wietnamie.

Najważniejszym jego wystąpieniem tamtych lat, politycznym *credo*, był wykład, jaki w 1978 r. wygłosił na Harvardzie, występując gwałtownie przeciwko okrucieństwu komunizmu i gnuśności liberalizmu. Za to wystąpienie potępili go z kolei publicyści amerykańscy. Pisarz zbierał więc razy z różnych stron – przez komunistów oskarżany o zdradę, przez emigracyjnych twórców rosyjskich uznawany za przeciwnika demokracji, nacjonalistę, przywiązanego do przestarzałych idei panslawizmu i Wielkiej Rosji.

Solżenicyn bronił demokracji, ale nie była to demokracja wielkich partii i globalnej polityki, tylko demokracja konkretnych ludzi. Najbliższej jego ideału sytuowała się demokracja bezpośrednia, stosowana na przykład w kantonach Szwajcarii. Stąd sympatia pisarza do tego kraju.



Aleksander Solżenicyn w pociągu do Chabarowska. Rosja, Władywostok, 1 czerwca 1994 r.

Można ironizować, że porównywał się do Tolstoja, ale jego życie rzeczywiście upływało w rytmie wielkich wydarzeń i olbrzymich zamierzeń, które czasem go przerastały. Najlepszym przykładem był obliczony na kilkanaście tomów cykl „Czerwone koło”: historyczno-literacki opis węzłowych wydarzeń w Rosji początku wieku XX. Opisując godzinę po godzinie, dzień po dniu, historię rewolucji, Solżenicyn chciał udowodnić tezę, że bolszewizm nie był elementem duszy rosyjskiej, tylko ideą narzuconą Rosjanom przez grupę ideologów. W to przedsięwzięcie zaangażował swoją rodzinę, która badała archiwa amerykańskie. Projekt zarzucił. Nie skończył również wielkiej historii stosunków rosyjsko-żydowskich „200 lat razem”.

Solżenicyn twierdził, że komunizm w Związku Radzieckim skończy się w momencie, kiedy na półkach księgarń pojawi się „Archipelag Gułag”. Wrócił do ojczyzny w 1994 r., znowu wywołując niezadowolenie: wynajął specjalny pociąg, który obwoził go po miastach dalekiej Syberii. Od początku deklarował nieufność do Gorbaczowa, później stał się jednym z najbardziej bezwzględnych krytyków Borysa Jelcyna, którego oskarżał o uwolnienie separatystycznych demonów i nieumiejętność rządzenia państwem. Do końca życia głosił, że Ukraina, Rosja i Białoruś powinny tworzyć jeden państwowy organizm. Opowiadał się też za silną władzą centralną. Ale już w przypadku Czeczenii sądził inaczej: proponował, by zamiast interwencji zbrojnej, zostawić to państwo same sobie, odcinając się od niego szczerłą granicą.

Niewątpliwie wielką zagadką pozostaje stosunek Solżenicyna do Władimira Putina. Pisarz odmówił przyjęcia najważniejszych odznaczeń państwowych od Gorbaczowa

i Jelcyna, od Putina natomiast przyjął Nagrodę Państwową. W wywiadach starał się usprawiedliwić poprzedniego prezydenta, wskazując, że mimo różnych przeszkód, prowadzi on Rosję w kierunku demokracji. Wskazywał też, że obarczenie Rosji wyłączną odpowiedzialnością za komunizm jest nadużyciem – według niego do budowy tamtego systemu przyczyniły się w dużej mierze elity Ukrainy, Gruzji czy Kazachstanu, państw postrzeganych w tej chwili jednoznacznie jako ofiary komunizmu.

W ostatnich latach życia rzadko pokazywał się publicznie, ale ciągle czytał i śledził wydarzenia, nie tylko w Federacji Rosyjskiej.

Teraz, po jego śmierci, z pewnością odezwą się głosy o antypolonizmie Solżenicyna. Sprawę trzeba postawić inaczej: w ostatnich latach życia Polska już go nie interesowała, nie miał dla nas czasu. W 1978 roku z wielką atencją odniósł się do Karola Wojtyły, właśnie wybranego na urząd papieski. W 1993 r. spotkał się z Janem Pawłem II, który zachęcał go do odwiedzenia Polski, miał odebrać nawet doktorat honoris causa na KUL-u, jednak ostatecznie nie przyjechał.

W jednym z ostatnich wywiadów, jakie udzielił, mówił dziennikarzowi „Spiegla”: „Od dawna już nie czuję przed śmiercią żadnego strachu”. Rzeczywiście, przebywał w strasznych miejscach, wielokrotnie mógł zginąć. Po wyjściu z łagru zachorował na raka, wyzdrowiał cudem. Po tym wszystkim jeszcze mocniej dojrzało w nim przekonanie, że ma do spełnienia w swoim życiu ważną misję. I spełnił ją.

Dlatego nie dziwi, że na życzenia dziennikarza „wielu lat życia i napisania nowych dzieł”, odpowiedział stanowczo: „Nie, nie. Nie trzeba. Wystarczy”.

WSPÓŁPRACA MICHAŁ OLSZEWSKI